

James Robert Boone.

Dola Jeruzalem

2 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Jak to dobrze znaleźć się wreszcie w chłodnym, pełnym prze- ciągów hallu w

Chapelwaite z

nadzieją, że wreszcie ulżę pełnemu pęcherzowi. Po podróży tym przerażającym

dyliżansem bolą mnie

wszystkie gnaty. Ale największą radość sprawił mi widok zaadresowanego Twoimi

niewpowtarzalnymi

bazgrołami listu, który leży na tym okropnym stoliku z wiśniowego drzewa

stojącym obok drzwi!

Zapewniam Cię, że zabiorę się do jego odcyfrowywania jak tylko zaspokoję

potrzeby mego ciała

(w ozdobnej łazience na parterze, gdzie panuje taki ziąb, że aż para leci z

ust).

Rad jestem, że wyleczyłeś się już z tej miazmy, która tak długo męczyła Ci

płuca, jakkolwiek bardzo

Ci współczuję moralnego dylematu, jaki miałeś w związku z podjęciem decyzji o

rozpoczęciu kuracji.

Chory abolicjonista leczący się na słonecznej, skażonej niewolnictwem Florydzie.

Niemniej, Bonesie,

proszę Cię jako przyjaciela, który również był już w tej dolinie cienia, myśl

przede wszystkim o sobie i

nie wracaj do Massachusetts, dopóki ciało nie będzie zupełnie zdrowe. Jeśli

umrzesz, Twój subtelny  
umysł i cięte pióro będą dla nas stracone, czyż nie ma jakiejś poetyckiej  
sprawiedliwości w tym, że  
Południe ma cię wyleczyć?  
Owszem, dom jest tak spokojny i piękny, jak zapewniali mnie wykonawcy ostatniej  
woli mego  
kuzyna, ale w pewien sposób złowieszczy. Stoi na wysokim, wielkim, sterczącym  
wzniesieniu jakieś  
pięć kilometrów na północ od Falmouth, a dziewięć od Portland. Za domem rozciąga  
się ponad hektar  
ziemi, dochodzący aż do strasznej, przechodzącej wszelkie wyobrażenia dziczy -  
jałowce, zbite  
gąszcza winorośli, krzaki i dzikie pnącza porastające malownicze skały, które  
oddzielają moją  
posiadłość od terenów należących do miasta. Okropne imitacje greckich rzeźb  
spoglądają  
ślepo ze szczytów pagórków, jakby w każdej chwili miały się rzucić na  
przechodnia. Odnoszę  
wrażenie, że gust mego kuzyna Stephena wyrażał całą gamę upodobań, od  
predylekcji do  
rzeczy nie do zaakceptowania po zamiłowanie do przedmiotów krańcowo  
odrażających. Jest  
tu dziwaczny letni domek, prawie całkowicie pogrzebany pod zwałami szkarłatnego  
sumaka, i  
groteskowy zegar słoneczny w środku czegoś, co niegdyś musiało być ogrodem. On  
właśnie  
dopełnia miary szaleństwa, jakie tkwi w tym dziwacznym krajobrazie.

Ale widok rozciągający się z okien salonu rekompensuje wszystko; przyprawiająca

o

zawrót głowy panorama skał u podnóża Chapelwaite Head i samego Atlantyku.

Olbrzymie,

wysunięte okno wykuszowe, obok którego stoi wielka, przypominająca kształtem

ropuchę

sekretera, wychodzi właśnie na tę stronę. Wszystko to stwarza doskonałe warunki

i wspaniały

nastrój, żebym zaczął w końcu pisać powieść, o której tyle Ci opowiadałem [i

niewątpliwie

okropnie Cię tym zanudzałem].

Dzisiejszy dzień był pochmurny, co chwila padał deszcz. Świat za oknem jest bury

- stare i

zwietrzałe jak sam Czas skały, niebo i naturalnie ocean, który biję w granitowe

zręby u

podnóża góry, powodując nie tyle huk, co jakieś wibracje... Kiedy piszę te

słowa, cały czas

wyczuwam stopami każde uderzenie fal. Ogólnie wrażenie nie jest nieprzyjemne.

Zdaję sobie sprawę, drogi Bonesie, że nie pochwalasz moich samotniczych ciągot,

ale śpieszę

Cię zapewnić, że czuję się świetnie i jestem szczęśliwy. Jest ze mną Calvin, jak

zwykle

praktyczny, małomówny i niezawodny; już po kilku dniach zadzierzgnęła się między

nami nić

sympatii. Zorganizowaliśmy sobie w miasteczku regularne dostawy prowiantu oraz

cały

zastęp kobiet, które mają doprowadzić ten dom do porządku!

Będę kończył - tyle tu jeszcze mam rzeczy do obejrzenia, tyle pokoi do zwiedzenia i niewątpliwie tysiące sztuk obrzydliwych mebli, które czekają, żebym rzucił na nie czułym okiem. Jeszcze raz dziękuję Ci za serdeczny list i za Twoją nieustającą przyjaźń.

Prześlę wyrazy sympatii Swojej Żonie i przyjmij moje.

CHARLES

6 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Cóż to za miejsce!

Nieustannie wprawia mnie w zdumienie - podobnie jak zdumiewa mnie reakcja mieszkańców

poobliskiej wioski na wieść o tym, że objąłem je w posiadanie. Jest to dziwaczna maleńka osada o

malowniczej nazwie Preacher's Corners\*. To stamtąd właśnie Calvin zorganizował cotygodniowe

dostawy zaopatrzenia; tam również postanowił zamówić odpowiednią ilość drewna na zimę. Ale z

miasteczka wrócił z pochmurną twarzą, a kiedy spytałem, co go dręczy, odparł posępnie:

"Panie Boone, oni uważają, że pan zwariował!" Roześmiałem się i odparłem, że zapewne dotarła już

do nich wieść, że po śmierci Sary przeszedłem zapalenie opon mózgowych...

Plotłem wtedy

niestworzone rzeczy, o czym sam możesz zaświadczyć.

Ale Cal zaprotestował twierdząc, że nikt tam o mnie nic nie wie poza tym, że

jestem kuzynkiem

Stephena, który również zaopa- trywał się we wszystko w miasteczku. "Powiedziano mi, proszę pana,

że każdy, kto mieszka w Chapelwaite, albo jest już wariatem, albo nim zostanie".

Jak zapewne sobie wyobrażasz, byłem bardzo zakłopotany i zapytałem, skąd ma te zdumiewające

informacje. Wyjaśnił, że po- wiedział mu o tym ponury i raczej zamroczony

alkoholem bałwan

nazwiskiem Thompson, właściciel czterystu akrów ziemi porośniętej sosnami,

brzozami i świerkami, z

których drewno obrabia wraz z pięcioma synami i sprzedaje je częściowo do

tartaków w Portland, a

częściowo gospodarzom z przyległych terenów.

Kiedy Cal, nieświadom jego dziwacznych uprzedzeń, wyjaśnił, gdzie ma dostarczyć drewno,

Thompson gapił się na niego z otwartą gębą jak sroka w gnat. Oświadczył, że drewno mogą do-

starczyć jego synowie, ale tylko za dnia i to wyłącznie drogą biegnącą wzdłuż brzegu morza.

Cal zapewne źle odczytał moje osłupienie i szybko dodał, że facet upił się tanią whisky i wygadywał

jakieś bzdury o wymarłym miasteczku, z którym Stephen miał powiązania... i o glistach! Calvin dobił

w końcu interesu z jednym z chłopaków Thompsona. Ten, jak wywnioskowałem z opowieści,

zachowywał się raczej gburowato i sądząc po bijącym z ust zapachu, daleko mu było do trzeźwości.

Zrozumiałem też, że i w samym Preacher's Corners moje przybycie spotkało się z podobną reakcją.

Cal dowiedział się o tym w sklepie kolonialnym od sprzedawcy, ale wywnioskowałem, że to raczej

typ plotkarza, który lubi obmawiać wszystkich poza ich plecami.

Nie przejąłem się zbytnio tym wszystkim, ponieważ wiem, że wieśniacy lubią tworzyć mity oraz

ubarwiać sobie życie plotkami, a podejrzewam, że nieszczęsny Stephen i jego rodzina stanowili

bardzo wdzięczny temat. Uświadomiłem Calowi, że człowiek, który padł trupem przed werandą

własnego domu, z całą pewnością musiał stać się tutaj naczelnym tematem rozmów i plotek.

Sam dom wprawia mnie w nieustanne zdumienie. Bonesie, ma dwadzieścia trzy pokoje! Ściany na

piętrach wyłożone są boazerią, a galeria portretów, choć nosi wyraźne ślady pleśni, trzyma się jeszcze

całkiem dzielnie. Kiedy przebywałem na piętrze w sypialni, którą ostatnio zajmował mój kuzyn,

słyszałem buszujące w ścianach szczury; sądząc po hałasie, jaki robiły, musiały to być wyjątkowo

dorodne sztuki - chrobot był tak donośny, jakby tam grasowali ludzie. Zapewniam Cię, że nie

chciałbym spotkać się w nocy z takim stworzeniem, zresztą w dzień też nie. Jak dotąd nie natknąłem

się jednak ani na ich odchody, ani na żadne nory. Dziwne.

Galeria na piętrze składa się z kiepskich obrazów, za to ramy warte są zapewne

fortunę. Niektóre  
postacie z portretów przypominają Stephena takiego, jakim go zapamiętałem. Sądzę  
też, że  
zidentyfikowałem mego wuja, Henry'ego Boone'a i jego żonę Judith; pozostałe  
twarze nic mi nie  
mówią. Podejrzewam, że któraś może należeć do mego znanego wszem i wobec dziadka  
Roberta. Ale  
rodziny ze strony Stephena zupełnie nie znam, czego ze szczerego serca żałuję.  
Ten sam dobry humor,  
który przebijał z listów Stephena do mnie i do Sary, dostrzec można w twarzach  
osób na portretach,  
mimo że same obrazy są w opłakanym stanie. W jakim głupi sposób rozpadają się  
rodziny.  
Karabinowe escritorio, ostre słowa między braćmi, którzy nie żyją już od trzech  
pokoleń, i Bogu  
ducha winni potomkowie niepotrzebnie patrzą na siebie wilkiem. Nie potrafię  
powstrzymać się od  
refleksji, że niebawem szczęśliwie się złożyło, iż Tobie i Johnowi Petty'emu  
udało się skontaktować  
ze Stephenem, kiedy wydawało się, że ja też podążę śladem Sary i przekroczę  
Bramę... zwłaszcza że  
złośliwy los nie pozwolił mi się osobiście spotkać z kuzynem. Tak chciałbym  
posłuchać na własne  
uszy, jak występuje w obronie rodowych rzeźb i mebli!  
Ale nie pozwól mi tak bezlitośnie obmawiać tego miejsca. Stephen wprowadził  
hołdował innym  
gustom niż moje, ale oprócz nowinek wprowadzonych przez niego znaleźć tu można

prawdziwe perty

sztuki meblarskiej [większość z nich spoczywa na górze przykryta płóciennymi pokrowcami]. Są tam

łóża, stoły i ciężkie, mroczne woluty wykonane z drzewa tekowego i z mahoniu, a wyposażenie

licznych sypialni i pokoi gościnnych, górnego gabinetu i małego salonu posiada jakiś posępny urok.

Podłogi wyłożone sosnową klepką lśnią jakimś tajemniczym, wewnętrznym blaskiem.

Panuje tutaj

aura dostojeństwa; dostojeństwa i przytłaczającego wszystko ciężaru minionych lat. Nie powiem,

żebym to lubił, ale darzę szacunkiem. Bardzo jestem ciekaw, czy uda mi się przystosować do tego

tak zmiennego, północnego klimatu.

Boże, ale się rozgadałem! Odpisz mi, Bonesie, jak najszybciej. Informuj mnie o postępach twej

kuracji, a także o wiadomościach, jakie dostajesz od Petty'ego i reszty. I

zaklinam cię na wszystkie

świętości, nie próbuj zbyt nachalnie nawracać swych nowych znajomych z Południa.

Obaj doskonale

wiemy, że nie wszyscy, jak nasz dawno już nieżyjący przyjaciel, pan Calhoun,

zadowolą się jedynie

utarczkami słownymi.

Oddany Ci przyjaciel

CHARLES

16 paźdz. 1850 r

DROGI RICHARDZIE!



Cześć, jak Ci leci? Po przybyciu do rezydencji w Chapelwaite często o Tobie myślałem i po trosze spodziewałem się jakichś wieści od Ciebie... a teraz właśnie otrzymałem list od Bonesa, który pisze, że przecież zapomniałem zostawić w klubie swego nowego adresu! Bądź pewien, że i tak bym napisał, ponieważ czasami wydaje mi się, że moi prawdziwi i wierni przyjaciele są wszystkim, co zostawiłem w zupełnie normalnym i pewnym świecie. Wielki Boże, ależ los nas rozrzucił! Ty jesteś w Bostonie i wiernie piszesz do The Liberator [tak na marginesie, tam również przesłałem mój aktualny adres], Hanson przebywa w Anglii na tych swoich kolejnych przeklętych wycieczkach, a biedaczysko Bones leczy płuca w samej jaskini lwa. Dicku, sytuację tutaj zastałem taką, jak się spodziewałem, i bądź pewien, że złożę Ci o wszystkim pełne sprawozdanie, kiedy już uporam się z pewnymi sprawami, z jakimi się zetknąłem w tym miejscu... Myślę, iż pewne wydarzenia, jakie zdarzają się w samym Chapelwaite i w okolicy, bardzo zaintrygują Twój prawniczy umysł. Na razie pragnę tylko zapytać, czy nadal interesują Cię te sprawy. Czy pamiętasz historyka, którego przedstawiłeś mi na obiedzie u pana Clary'ego? Nazywał się chyba Bigelow. Tak czy owak wspominał, że jego hobby polega na zbieraniu wszelkich strzępów wiadomości

historycznych

odnoszących się dokładnie do terenów, na których obecnie mieszkam. Moja prośba

zatem brzmi: Czy

byłbyś łaskaw skontaktować się z nim ponownie i poprosić o informacje dotyczące

folkloru, a nawet

plotki odnoszące się do małego, opuszczonego miasteczka zwanego DOLA JERUZALEM w

parafii

Preacher's Corners nad Królewską Rzeką, która wpada do odległej od Chapelwaite o

jakieś

osiemnaście kilometrów rzeki Androscoggin. Jest to dla mnie sprawa niebywale

istotna i byłbym Ci

bardzo zobowiązany, gdybyś zechciał mi pomóc.

Drogi Dicku, przejrzałem właśnie ten list i widzę, że potraktowałem Cię dosyć

skrótowo, za co z

całego serca przepraszam. Ale zapewniam Cię, że w stosownym czasie wytłumaczę tę

lakoniczność, a

teraz przesyłam najgorętsze pozdrowienia Twojej żonie, Twoim dwóm wspaniałym

synom i,

naturalnie, Tobie.

Oddany Ci przyjaciel

CHARLES

16 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Pragnę opowiedzieć Ci o tym, co mnie i Calowi wydaje się nieco dziwne [a nawet

niepokojące] -

ciekaw jestem, co Ty na ten temat powiesz. Jeśli Cię to nie zainteresuje,

potraktuj wszystko jako żart,

który uprzyjemni Ci chwile walk z komarami.

W dwa dni po tym, jak wysłałem do Ciebie list, z Corners przybyły do nas cztery

młode damy w

towarzystwie pani Cloris, matrony o przerażająco dystyngowanym wyrazie twarzy,

żeby do-

prowadzić dom do porządku i wszystko dokładnie odkurzyć; w wyniku ich działań

już do końca dnia

nieustannie kichałem. Wszystkie kobiety wykonując swoją pracę, wydawały się

spięte i mocno

zdeenerwowane; jedna nawet cicho pisnęła ze strachu, kiedy nieoczekiwanie

wszedłem do salonu na

piętrze, który akurat sprzątała.

Zapytałem o to panią Cloris. (Zdumiałbyś się, bo odkurzała hall na parterze z

taką zawziętością, że

spod starej, spłowiałej opaski wysypywały się jej kosmyki włosów]. Odwróciła się

w moją stronę i

powiedziała z dziwnym napięciem w głosie:

"Ludzie nie lubią tego domu, proszę pana, i ja również go nie lubię. Ten dom  
zawsze był zły".

Na tak nieoczekiwane oświadczenie straciłem na chwilę mowę, a wyraźnie

podekscytowana pani

Cloris ciągnęła dalej:.

"Nie chcę przez to powiedzieć, że Stephen Boone był człowiekiem niegodziwym,

ponieważ

skłamałabym; sprzątałam u niego co drugi wtorek przez cały czas, jak tutaj

mieszkał, podobnie jak

sprzątałam u jego ojca, pana Randolpha Boone'a aż do chwili, kiedy on i jego

żona zniknęli w roku

tysiąc osiemset szesnastym. Pan Stephen był dobrym i sympatycznym człowiekiem i

pan również

sprawia takie wrażenie (proszę wybaczyć mi moją szczerość, ale ja nie potrafię

inaczej mówić); lecz

sam dom jest zły, taki zresztą zawsze był i żaden z Boone'ów nie zaznał w nim

szczęścia. Tak jest od

czasów, kiedy pański dziadek Robert i jego brat Phillip w roku tysiąc siedemset

osiemdziesiątym

dziewiątym poróżnili się o jakieś [tutaj umilkła, jakby nagle poczuła się winna]

skradzione

przedmioty".

Sam popatrz, Bones, jaką ta miejscowa ludność ma pamięć!

"Dom zbudowano nieszczęśliwie" - powiedziała jeszcze pani Cloris. - "Ludzi w nim

mieszkających

prześladowały nieszczęścia, na jego podłogach rozlano krew [nie wiem, czy wiesz,

Bones, że mój wuj

Randolph zamieszany był w wypadek, jaki wydarzył się na schodach prowadzących do

piwnicy, w

którym to straciła życie jego córka Marcella; on sam dręczony wyrzutami

sumienia, odebrał sobie

życie. Opisał mi to wszystko Stephen w liście, jaki przysłał ze smutnej okazji

dnia urodzin swojej

nieżyjącej siostry], zdarzały się tu również tajemnicze zniknięcia i wypadki.

Pracowałam w tym domu od dawna, panie Boone, a przecież nie jestem ani ślepa,

ani głucha.

Słyszałam w ścianach paskudne dźwięki, proszę pana, paskudne dźwięki -

straszliwe łomoty i trzaski,

a raz nawet dziwne ni to zawodzenie, ni to śmiech. Aż zmroziło mi krew w żyłach.

Proszę pana, to

mroczne miejsce..."

Urwała, najwyraźniej w obawie, że powie za dużo.

Jeśli o mnie chodzi, sam dobrze nie wiedziałem, czy mam wybuchnąć śmiechem,

czy wyrazić

oburzenie, być zaintrygowany, czy podejść do tych rewelacji racjonalnie. Obawiam

się, że wtedy

byłem tylko rozbawiony.

"A czego się pani spodziewała, pani Cloris?" - zapytałem. ~- "Pobrzękujących

łańcuchami

duchów?"

Ona tylko obrzuciła mnie osobliwym spojrzeniem.

"Może i duchów. Ale to nie duchy gnieźdzą się w ścianach. To nie duchy zawodzą i

płaczą jak

potępieńcy, to nie duchy rozbijają się i włóczą w ciemnościach. To..."

"Śmiało, pani Cloris" - zachęciłem. - "Skoro już pani opowiedziała tyle, to

należy skończyć to, co

się zaczęło".

Na jej twarzy pojawił się wyraz najwyższego przerażenia i - mógłbym dać głowę -

jakiejś religijnej

zgrozy.

„Niektórzy nie umierają" - szepnęła. - "Niektórzy żyją w półmroku zalegającym

dziedzinę

Pomiędzy, żeby służyć... Jemu!"

I to wszystko. Przez kilka minut próbowałem z kobieciny jeszcze coś wyciągnąć,

ale ona zacięła się

w uporze i nic więcej nie po- wiedziała. W końcu dałem spokój w obawie, że porzuci pracę.

Na tym zakończył się ten epizod, ale kolejny nastąpił następnego wieczoru.

Calvin napalił w kominku

na parterze, więc zasiadłem w salonie i kołysząc się sennie nad egzemplarzem The Intelligencer

słuchałem łoskotu nawiewanego wiatrem deszczu bijącego w duże wykuszowe okno.

Wpadłem w

blógi nastrój, jaki ogarnąłby każdego, kto wieczorem w taką pogodę siedzi pod dachem w ciepłe i w

wygodnym fotelu. W pewnej chwili w progu stanął Calvin. Był podekscytowany i wyraźnie

wystraszony.

„Pan nie śpi, sir?” - zapytał.

"Właśnie prawie zasnąłem" - odrzekłem. - "Co się stało?"

"Odkryłem coś na piętrze. Myślę, że powinien pan to zobaczyć osobiście" -

odparł, z trudem kryjąc

podniecenie.

Wstałem i ruszyłem za nim. Wspinając się po szerokich schodach, Calvin

powiedział:

"Czytałem książkę w gabinecie na piętrze... jedną z tych dziwnych... kiedy

usłyszałem w ścianie

hałas".

"Szczyry" - oświadczyłem. - "I to wszystko?" Przystanął na górze schodów i

popatrzył na mnie

bardzo poważ- nie. Lampa, którą trzymał w ręku, rzucała tajemnicze, tańczące

cienie na ciemne

draperie i majaczące w mroku portrety. Twarze raczej łypały na nas z ukosa, niż

się uśmiechały. Nagle

za oknem zaczął wyc wiatr, ale po chwili, jakby niechętnie, ucichł.

„To nie były szczury” - powiedział Cal. - "To był taki dudniący dźwięk, jakby

coś szamotało się za

szafką z książkami, a później rozległ się okropny gulgoczący rechot... okropny,

śir. I drapanie, jakby

coś chciało się wydostać... dostać mnie!"

Czy potrafisz sobie wyobrazić moje zdumienie, Bonesie? Calvin nie jest

człowiekiem, który daje się

ponosić odruchom histerycznej wyobraźni. Zacząłem podejrzewać, że tkwi w tym

jakaś tajemnica; i to

tajemnica bardzo ponura.

"I co się stało dalej?" - spytałem. Ruszyliśmy korytarzem i w końcu ujrzałem

padające z gabinetu na

podłogę światło. Z drzeniem serca popatrzyłem w tamtą stronę; opuścił mnie cały

blógi nastrój.

"Drapanie ustało, ale po chwili znów rozległo się to dudnienie i szamotanie; tym

razem coraz dalej.

Na chwilę to coś się za-trzymało i przysięgam, że słyszałem dziwny, prawie

nieuchwytny dla ucha

śmiech! Podeszedłem do szafki i przesunąłem ją w nadziei, że znajdę za nią jakąś

przegrodę albo

sekretne drzwi".

"I co? Natknąłeś się na coś interesującego?"

Cal przystanął przed drzwiami do gabinetu.

„Nie... ale znalazłem to!”

Weszliśmy do środka i zobaczyłem w półce stojącej po lewej stronie czarną wnękę.

Książki w tym

miejscu były tylko atrapą. Cal odnalazł skrytkę. Poświeciłem do~ środka lampą,

ale dostrzegłem

jedynie grubą warstwę kurzu, który musiał się tam gromadzić od dziesięcioleci.

"W środku było tylko to" - wyjaśnił cicho Cal, wręczając mi pożółkłą kartkę

papieru. .

Przed oczyma miałem mapę z delikatnymi, cienkimi jak pajęczna przędza liniami

wyrysowanymi

czarnym atramentem... mapę jakiegoś miasteczka lub wioski. Na planie umieszczono

może z siedem

budynków. Pod jednym, zaznaczonym wieżyczką, widniał podpis: Zepsuła go glista.

W górnym lewym rogu - wedle mapy punkt ów leżał na północny zachód od małej

osady -

narysowana była strzałka. Pod nią czerniał napis: Chapelwaite.

"W Corners ktoś wspominał z lękiem o opuszczonym miasteczku zwanym Doła

Jeruzalem" -

powiedział Calvin. - "Wszyscy trzymają się od tamtego miejsca z daleka".

"Ale co to znaczy?" - zapytałem, wskazując dziwaczny podpis pod wieżyczką.

"Nie wiem" - odparł.

Przypomniałem sobie wystraszoną, ale stanowczą panią Cloris.

"Glista..." - mruknąłem.

"Czy pan coś wie, panie Boone?"

"Zapewne... będzie zabawnie odwiedzić jutro to miasteczko. Co o tym myślisz,

Cal?"

Oczy mu rozbłyły i skinął głową. Strawiliśmy blisko godzinę, opukując i



przeszukując ścianę za

znalezioną przez Cala skrytką, ale bez rezultatu. Nie powtórzyły się również odgłosy, które mi opisał.

Daliśmy sobie wreszcie spokój.

Następnego dnia rano ruszyliśmy na piechotę przez las. Padający w nocy deszcz ustał, ale niebo

ciągle było szare i nad ziemią nisko płynęły chmury. Kiedy poczułem na sobie zaniepokojony wzrok

Cala, śpiesznie zapewniłem go, że jeśli poczuję się zmęczony lub droga okaże się zbyt długa,

natychmiast go o tym powiadomię i zrezygnujemy z całego przedsięwzięcia.

Zabraliśmy ze sobą

potężną wałówkę, wyśmienity kompas Buckwhite'a i oczywiście tajemniczą, starą mapę Doli

Jeruzalem.

Dzień był dziwny i posepny; kiedy posuwaliśmy się przez mroczny, sosnowy las, najpierw na

południe, a później na wschód, nie słyszeliśmy ani jednego ptaka, a w zaroślach nie poruszyło się

żadne zwierzę. Głuchą ciszę mącił jedynie dźwięk naszych stóp i odległy łoskot bijącego w skały

przylądka oceanu. Towarzyszył nam cały czas prawie nadprzyrodzenie ciężki zapach morza.

Po niecałych trzech kilometrach natknęliśmy się na zarośniętą, niegdyś wyłożoną palami drogę,

która ciągnęła się mniej więcej w tym samym kierunku, gdzie zdążaliśmy.

Ruszyliśmy nią, co

pozwoiliło zaoszczdzić sporo czasu. Rozmawialiśmy niewiele. Pochmurny, ponury  
dzień opadał

ciężką płachtą, gasząc w nas całego ducha.

Okolo jedenastej uslyszeliśmy szum płynącej wody. Zarośnięta droga, którą  
szliśmy, gwałtownie

odbijała w lewo, a po drugiej stronie spienionego, ciemnoszarego potoku, niczym  
jakiś widziadło,

rozsiadło się miasteczko Dola Jeruzalem!

Potok miał okolo dwóch i pół metra szerokości; jego brzegi łączyła obrośnięta  
mchem kładka. Po

drugiej stronie, Bonesie, znajdowało się przepiękne miasteczko. Naturalnie  
nieubłagane działanie

czasu wywarło na nim swoje piętno, ale i tak zachowało się w zadziwiająco dobrym  
stanie.

Kilkanaście domów, z jakich znani byli purytanie - surowych w swoim kształcie,  
ale mimo to

imponujących - stało nad stromym brzegiem rzeki. Dalej, wzdłuż zarośniętej  
chwastami ulicy

widniały trzy lub cztery budynki. Od biedy mogły stanowić prymitywne centrum  
handlowe. Jeszcze

dalej sterczała iglica zaznaczonego na mapie kościoła; kłufa ołowiane niebo i  
sprawiała

nieprawdopodobnie posępne wrażenie z powodu łuszczącej się farby i zmatowiałego,  
przekrzywionego krzyża.

"Nazwa pasuje do miasteczka jak ulał" - odezwał się cicho stojący za moimi  
plecami Cal.

Przeszliśmy mostek, ruszyliśmy w stronę wioski... i w tym miejscu moja opowieść

stanie się nieco

dziwaczna, więc przygotuj się, Bonesie!

W miarę jak posuwaliśmy się między domami, powietrze zdawało się przybierać

konsystencję

ołowiu; jeśli wolisz, było ciężkie. Budynki znajdowały się w stanie kompletnego

rozkładu -

pozrywane okiennice, pozapadane pod ciężarem śniegów dachy, pokryte kurzem okna

łtpiące na nas

zezem. Cienie rzucane przez dziwaczne załomy ścian i kanciaste przybudówki

zdawały się zamieniać

w jakieś złowrogie jeziora.

Najpierw wkroczyliśmy do starej, zmurszałej karczmy - od- nosiłem osobliwe

wrażenie, że nie

powinniśmy swoją obecnością zakłócać spokoju domów, w których zmęczeni ludzie

szukali chwili

wytnienia i samotności. Zwietrzała tablica wisząca nad połupanymi drzwiami

głosiła, że był tu

ongiś ZAJAZD I KARCZMA POD ŚWIŃSKIM ŁBEM. Wiszące na jednym zawiasie drzwi

zaskrzypiały potępieńczo, a my weszliśmy do pogrążonego w głębokim cieniu

wnętrza. Smród pleśni i

rozkładu zwał po prostu z nóg. Wydawało mi się, że pod tym zapachem kryje się

inny jeszcze fetor,

zawiesisty, morowy odór, zapach wieków i zgnilizny. Taką woń wydzielać mogą

jedynie zniszczone

trumny lub zbeczeszczone grobowce. Jednocześnie przyłożyliśmy do nosów

chusteczki.

Obrzuciliśmy pomieszczenie byстрыm spojrzeniem.

"Boże drogi, sir..." - zaczął słabym głosem Cal.

"...nie powinniśmy byli tu wchodzić" - zakończyłem za niego. I tak rzeczywiście było.

Stoły i krzesła stały niczym upiorni strażnicy; zakurzone, z nie- zatartym piętrem, jakie wywarły na

nich gwałtowne zmiany temperatur, z których znany jest klimat Nowej Anglii, a jednocześnie w jakiś

sposób w stanie nienaruszonym - jakby czekały poprzez milczące, napęczniałe echem dziesięciolecia,

aż wróci ów miniony, dawny czas i ktoś wejdzie, zawoła, żeby podano mu kufel piwa albo szklanę

gorzałki, rozda karty, po czym zaciągnie się wykonaną z gliny fajką. Wiszące na ścianie obok tablicy z

regulaminem kwadratowe, małe lustro było całe. Rozumiesz, Bonesie? Mali chłopcy znani są z tego,

że wszędzie się dostaną i wszystko zniszczą. Nie istnieje dla nich żaden

"nawiedzony" dom, który po

ich wizycie ostałby się z całymi szybami bez względu na to, jak niesamowici i przerażający byliby

jego rzekomi mieszkańcy; dla takich łobuziaków nie ma świętości pogrążonego w posępnym cieniu

cmentarza, nie ma grobowca, gdzie by się nie wdarli. A z całą pewnością w odległym od Doli

Jeruzalem o niecałe trzy kilometry Preacher's Corners urwisów takich jest bardzo wielu. A na dodatek

wszelkie szklane naczynia i cała masa innych kruchych i delikatnych przedmiotów, na które

natknęliśmy się podczas naszych poszukiwań [warte są z pewnością okrągłą sumkę],  
również pozo-

stały nie tknięte. Jedyne zniszczenia, jakich dopatrzyliśmy się w Doli

Jeruzalem, dokonane zostały

przez bezosobową Naturę. Wniosek jest jasny: Dola Jeruzalem to nawiedzone  
miasto. Ale dlaczego?

Mam pewną teorię, lecz zanim odważę się bliżej ją wyjaśnić, najpierw opowiem o  
dziwnym i

niepokojącym zakończeniu naszej wizyty w tym upiornym miejscu.

Przeszliśmy na górę do części sypialnej zajazdu. Łóżka były starannie postane,

przy każdym stał

cynowy dzban na wodę. Podobnie kuchnia nie nosiła najmniejszych śladów

zniszczenia, z wyjątkiem

zalegających wszędzie grubych warstw kurzu i przenikającego wszystko zapachu

zgnilizny i rozkładu.

Karczma z całą pewnością dla miłośnika starożytności byłaby ziemią obiecaną.

Wspaniały kuchenny

piec stanowiłby ozdobę każdej aukcji w Bostonie i niechybnie osiągnąłby zawrotną

cenę.

"I co o tym myślisz, Cal?" - zapytałem, kiedy znów znaleźliśmy się w mętным

świetle pochmurnego

dnia.

"Myślę, że to paskudny interes, panie Boone" - odparł płacząco.

Pobieżnie zbadaliśmy inne budynki: stajnię przy karczmie, gdzie na płaskich,

zardzewiałych hakach

wisiały spleśniałe uprzęże, sklep z artykułami gospodarstwa domowego, magazyn z

drewnem, gdzie

ciągle jeszcze piętrzyły się stopy sosnowych i dębowych belek i desek, oraz kuźnię.

W drodze do stojącego pośrodku miasteczka kościoła wstąpiliśmy do dwóch domów mieszkalnych.

Oba były zabudowane w typowym, purytańskim stylu, a w środku natknęliśmy się na masę

przedmiotów i sprzętów, na których każdy kolekcjoner staroci natychmiast położyłby chciwie swoją

rękę. Oba domy zostały opuszczone i przenikał je zapach zgnilizny.

Z wyjątkiem nas dwóch wszystko tam było martwe i pogrążone w bezruchu. Nie dostrzegliśmy

owadów, ptaków ani nawet pajęczyn w rogach okien. Tylko kurz.

W końcu dotarliśmy do kościoła. Piętrzył się nad nami, posępny, niegościnnie, zimny. Okna były

ciemne od panującego w środku mroku; wszelka pobożność i świętość opuściły to miejsce bardzo

dawno. O tym byłem absolutnie przekonany. Weszliśmy po schodach i położyłem dłoń na wielkiej,

żelaznej klamce. Wymieniliśmy z Calvinem posępne spojrzenia. Pchnąłem drzwi. Od jak dawna tej

klamki nie dotknęła ludzka ręka? Byłem pewien, że moja jest pierwsza od pięćdziesięciu lat; zapewne

dłużej. Zardzewiałe zawiasy przeraźliwie zaskrzypiały. Smród pleśni, zgnilizny i rozkładu był prawie

namacalny. Cal wydał zdławiony okrzyk i odruchowo odwrócił twarz, pragnąc zaczerpnąć w płuca

świeżego powietrza.

"Proszę pana" - sapnął. - "Czy jest pan pewien, że pan wytrzyma..." .

"Czuję się doskonale" - odparłem spokojnie.

Bones, wcale nie byłem spokojny; podobnie jak i teraz. Podobnie jak Mojżesz,

Jereboam, Increase

Mather czy nasz Hanson [kiedy jest, naturalnie, w tym swoim filozoficznym

nastroju] wierzę, że

istnieją szkodliwe duchowo miejsca, budowle, w których kosmiczne dobro kwaśnieje

i psuje się.

Przysięgam Ci, że ten kościół jest właśnie takim miejscem.

Wkroczyliśmy do długiego westybulu zastawionego zakurzone- mi wieszakami i

pulpitami ze

zbiorami hymnów. W westybulu nie było okien. W specjalnych niszach stały lampy

oliwne.

Nieszczególnie godne uwagi pomieszczenie, pomyślałem, ale w tej samej chwili

usłyszałem, że Calvin

ze świstem wciąga w płuca powietrze i dopiero wtedy ujrzałem to, co on dostrzegł

wcześniej.

To było odrażające. Nie śmiem opisać dokładniej tego wspaniale oprawionego

malowidła. Musi

wystarczyć Ci tylko tyle: namalowane było w zmysłowym stylu obrazów Rubensa,

przedstawiało

groteskową trawestację Madonny z Dzieciątkiem, a w tle pełzły i paradowały

dziwne, ukryte w

półcieniu stworzenia.

"Boże" - szepnąłem.

"Tu nie ma żadnego Boga" - odparł Calvin.

Jego słowa długo jeszcze wisiły w powietrzu.

Otworzyłem drzwi prowadzące do samego kościoła. W nozdrza uderzyło nas niezdrowe powietrze i odrażający smród.

W nikłym świetle popołudnia majaczyły ławki ciągnące się aż do ołtarza. Nad nimi wznosiła się wysoka, dębowa kazalnica, a jeszcze dalej, na skrytym w mroku ołtarzu, lśniło złoto.

Calvin, który był żarliwym protestantem, z cichym łkaniem wykonał znak krzyża, a ja poszedłem w jego ślady. Owo złoto był to wspaniałej roboty krzyż, ale odwrócony do góry nogami - symbol Czarnej Mszy.

"Musimy zachować spokój" - usłyszałem własny głos. - "Calvin, musimy zachować spokój. Musimy zachować spokój".

Lecz cień spowił już moje serce i obawiałem się, że nigdy nie odzyskam spokoju. Raz trafiłem pod mroczny parasol śmierci i myślałem, że nie może być ciemniejszego miejsca. Ale tu było. Tu było.

Przeszliśmy wzdłuż głównej nawy, nasze kroki wzbudzały rozliczne echa.

Zostawialiśmy za sobą w kurzu wyraźne ślady stóp. A na ołtarzu były inne jeszcze, mroczne objets d'art.

Nie, nie mogę, nie pozwolę memu umysłowi roztrząsać tego, co widzieliśmy.

Zacząłem wchodzić na kazalnicę.

„Nie! Panie Boone, nie!” - krzyknął nagle Cal. - "Boję się..."

Ale ja już znalazłem się na górze. Na pulpicie leżała olbrzymia, otwarta księga



napisana zarówno po  
łacinie jak i niewyraźnymi runami, które na moje niewprawne oko były pismem  
druidzkim albo  
preceltyckim. Załączam Ci kartkę z kilkoma narysowanymi z pamięci symbolami.  
Zamknąłem księgę i popatrzyłem na słowa wytłoczone w skórze okładki: De Vermis  
Mysteriis. Moja  
łacina jest raczej uboga, ale wystarczająca, żebym zrozumiał tytuł: Tajemnica  
Glisty.  
Kiedy tylko dotknąłem księgi, cały ten przekłęty kościół i blada, uniesiona  
twarz Calvina zatańczyły  
mi przed oczyma. Odniosłem wrażenie, że słyszę niskie, monotonicznie zawodzące  
głosy pełne jakiegoś  
odrażającego, a jednocześnie żarliwego oczekiwania... a w tle tego dźwięku inny  
jeszcze,  
wypełniający trzewia ziemi odgłos. Nie wiem... ale w tym samym momencie kościół  
wypełnił bardzo  
rzeczywisty dźwięk, który potrafię opisać jedynie jako taki odgłos, jaki  
musiałoby wydać coś  
ogromnego i nieskończenie makabrycznego, co skręciło się pod moimi stopami.  
Kazalnica zatrzęsała  
się; na ścianie zadygotał zbezczeszczony krzyż.  
Wyszliśmy jednocześnie, Cal i ja, zostawiając tamto miejsce ciemnościom, i żaden  
z nas nie  
odważył się odwrócić aż do chwili, kiedy przekroczyliśmy nierówne deski  
przerzuconego nad  
potokiem mostka. Nie powiem, że wracaliśmy biegiem, plugawiając tych tysięcy  
dziewięćset lat, podczas

których człowiek mozolnie piął się w górę od stadium ciemnego i pełnego

przesądów dzikusa, ale też

skłamałbym twierdząc, że szliśmy spacerkiem.

I to już wszystko. Nie wolno Ci psuć kuracji niepokojem, że ponownie zapadłem na

zapalenie opon

mózgowych; Cał może zaświadczyć o prawdziwości każdego mojego słowa i

potwierdzić istnienie

tych odrażających hałasów.

Tak więc kończę, życząc sobie gorąco spotkania z Tobą [wiem, że wtedy, w jednej

chwili,

opuściłoby mnie oszołomienie i zamęt, jaki panuje obecnie w mojej głowie]. Z

wyrazami najgorętszej,

dozgonnej przyjaźni

CHARLES

17 paźdz. 1850 r.

SZANOWNI PANOWIE!

W najnowszym katalogu waszych artykułów gospodarstwa domowego (z lata 1850 r.)

zauważyłem

preparat pod nazwą "Zmora szczurów". Chciałbym zakupić jedną (1) dwu i

półkilogramową puszkę

tego środka po cenie katalogowej trzydziestu centów (\$0.30). załączam opłatę za

przesyłkę.

Zamówiony towar proszę przesłać na adres: Calvin McCann, Chapelwaite, Preacher's

Corners,

Cumberland County, Maine.

Z góry dziękuję za załatwienie tej sprawy.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

CALVIN McCANN

19 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Nowy, bardzo niepokojący obrót sprawy.

Hałas w domu wzmagają się i nabieram coraz głębszego przekonania, że to wcale nie szczury

harują w ścianach. Calvin i ja podjęliśmy kolejną, bezowocną próbę odszukania jakichś kryjówek

albo tajemnych korytarzy. Wyraźnie brakuje nam odczytania w romansach pani Radcliffe! Cał upiera

się, że większość odgłosów ma swoje źródło w piwnicy i tam właśnie mamy zamiar jutro rozpocząć

poszukiwania. Niepokoi mnie świadomość, że właśnie w piwnicy tak niefortunnie znalazła swój

koniec siostra kuzyna Stephena.

Jej portret wisi w galerii na piętrze. Marcella Bone, jeśli artysta dobrze ją oddał, była pięknym

stworzeniem o melancholijnej urodzie i z tego co wiem, nie miała męża. Czasami myślę, że pani

Cloris, ma rację utrzymując, iż jest to zły dom. Przejął zapewne cały smutek i przygnębienie swoich

dawnych mieszkańców.

Ale muszę ci szerzej opisać straszne rewelacje, jakie objawiła mi pani Cloris, z którą dzisiaj po raz

drugi rozmawiałem. Kobieta owa jest najbardziej zrównoważoną osobą w Corners, jaką dotychczas

tam spotkałem, i postanowiłem odszukać ją po innym, bardzo nieprzyjemnym

spotkaniu, o czym

zamierzam Ci opowiedzieć.

Dzisiejszego ranka miano dostarczyć nam drewno na opał. Kiedy jednak minęło

południe, a drewna

jak nie było tak nie było, postanowiłem osobiście udać się do miasteczka.

Zamierzałem odwiedzić

Thompsona, z którym Calvin umówił się na dostawę.

Dzień był cudny. Panowała ciepła, złota jesień i kiedy wreszcie dotarłem na

miejsce [Cal został w

domu, żeby jeszcze raz przeszukać bibliotekę stryja Stephena, ale dał mi

dokładne wskazówki, jak

trafić do Thompsonów], byłem w tak wyśmienitym i pogodnym nastroju, że

postanowiłem wybaczyć

Thompsonowi jego niesolidarność.

Obejście drwala porastały bujne łąny chwastów, a walące się domostwo wymagało

generalnego

remontu i farby; na lewo od stodoły, w zabłoconym chlewie, tarzała się i

chrumkała olbrzymia

macióra przygotowana na listopadowy ubój. Na zaśmieconym podwórku między domem a

budynkami

gospodarczymi jakaś kobieta, ubrana w zniszczoną, kraciastą sukienkę, karmiła

kury, rzucając im

ziarno z fartucha. Kiedy ją pozdrowiłem, odwróciła w moją stronę bladą,

nieciekawą twarz.

Nagła zmiana wyrazu jej oblicza z całkowitej tępoty i bezmyślności do oszalałego

strachu była

rzeczą nader interesującą. Pomyślałem sobie, że zapewne wzięła mnie za samego

Stephena, ponieważ  
uniosta dłoń z rozcapierzonymi palcami w geście odpędzającym siłę nieczystą i  
wrzasnęła. Kręcące  
się u jej stóp ptactwo z głośnym krzykiem spłoszone rozbiegło się po dziedzińcu.  
Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, z domu wynurzył się wielki, kłocowaty  
mężczyzna odziany  
tylko w długie kalesony. W jednym ręku trzymał strzelbę na wiewiórki, a w drugim  
kubek. Po  
zaczerwienionych oczach i chwiejnym chodzie poznałem, że mam do czynienia z  
Thompsonem  
Drwałem we własnej osobie.  
"Boone!" - ryknął. - "Pieprzę cię!"  
Upuścił kubek i również wykonał magiczny znak. "Przyszedłem" - wyjaśniłem na  
tyle spokojnie, na  
ile pozwalały  
okoliczności - "ponieważ drewno do mnie przyjść nie chciało. Zgodnie z umową,  
którą zawarł pan z  
moim..."  
"Jego też pieprzę!"  
Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, że pod maską fanfaronady i pewności siebie  
skrywa  
śmiertelny strach. Zacząłem się poważnie zastanawiać, czy w stanie takiego  
podniecenia nie użyje w  
stosunku do mnie broni.  
"Czy w geście kurtuazji mógłby pan..." - zacząłem ostrożnie.  
"Pieprzę twoją kurtuazję!"  
"Zatem dobrze" - odparłem z godnością, na jaką mnie było w tamtej chwili stać. -

"Przyjdę, kiedy

pan się uspokoi i będzie w lepszym nastroju".

Odwrociłem się na pięcie i ruszyłem drogą w kierunku osady.

"Nie wracaj!" - wrzasnął za mną. - "Siedź sobie w domu ze

swoim złym! Przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!"

Cisnął kamieniem, który trafił mnie w ramię. Nie dałem mu tej satysfakcji i nie

odskoczyłem.

Postanowiłem odszukać panią Cloris i przynajmniej wyjaśnić zagadkę tak wrogiej

.postawy

Thompsona. Jest wdową [tak, wiem, i nic nie kombinuj ze swatami, Bonesie; ona

jest o dobrych

piętnaście lat ode mnie starsza, a i ja nigdy już na czterdzieści nie będę

wyglądał] i mieszka samotnie

w uroczym domku usytuowanym nad samym brzegiem oceanu. Kiedy się pojawiłem,

rozwieszała

właśnie pranie i szczerze ucieszyła się z mojej wizyty. Po- czułem ogromną ulgę;

to bardzo irytujące

uczucie, kiedy człowieka piętnują za coś, o czym on sam nie ma zielonego

pojęcia.

"Pan Boone" - powiedziała dygając. - "Jeśli pojawił się pan w sprawie prania, to

muszę z

przykrością odmówić. Reumatyzm tak mi dokucza, że z trudem radzę sobie z

własnymi brudami".

"Pani Cloris" - odparłem. - "Bardzo chciałbym, żeby to właśnie pranie było

przyczyną mojej wizyty.

Przyszedłem z prośbą o pomoc. Musi mi pani opowiedzieć wszystko, co pani wie o

Chapelwaite i Doli

Jeruzalem, oraz wyjaśnić, dlaczego okoliczni mieszkańcy traktują mnie tak wrogo i podejrzliwie".

"Dola Jeruzalem! A więc pan już o tym wie".

"Wiem" - odparłem. - "W ubiegłym tygodniu odwiedziłem tamto miejsce z moim przyjacielem".

„Boże!"

Pobladła jak mleko i zachwiała się. Podtrzymałem ją za łokieć. Oczy wyrzuciły się jej białkami do góry i myślałem, że zemdleje.

"Pani Cloris, przepraszam, jeśli powiedziałem coś..." "Wejdźmy do środka" - mruknęła. - "Powinien pan o wszystkim wiedzieć. Słodki Jezu, znów nadchodzą złe dni!"

Nie odezwała się więcej ani słowem do czasu, aż w swojej słonecznej kuchni zaparzyła herbatę.

Kiedy stały już przed nami parujące filiżanki, długą chwilę spoglądała zamyślonym wzrokiem na ocean. Naturalnie i jej, i mój wzrok prawie natychmiast spoczął na sterczącym wierzchołku

Chapelwaite Head, gdzie w wodzie przeglądał się dom. Ogromne wykuszowe okno lśniło w promieniach przesuwającego się ku zachodowi słońca. Widok był wspaniały, ale w jakiś sposób dziwnie niepokojący.

Nagle pani Cloris popatrzyła na mnie i powiedziała gwałtownie:

"Panie Boone, musi pan natychmiast opuścić Chapelwaite".

Po prostu zdębiałem.

"Tuż przed pańskim przybyciem bardzo wyraźnie wzmogła się aura zła. Na tydzień

przed tym, jak

postawił pan nogę w tym przeklętym miejscu, pojawiły się omeny i złowieszcze

znaki. Halo wokół

księżycy; olbrzymie ilości lelków na cmentarzu; narodziny wyrodka. Pan musi

tamto miejsce

opuścić!"

Kiedy już odzyskałem mowę, odezwałem się najłagodniej jak potrafiłem:

"Pani Cloris, to wszystko sny. Kto jak kto, ale pani musi o tym wiedzieć".

"Czy to sen, że Barbara Brown urodziła dziecko bez oczu? Albo że Clifton

Brockett natknął się w

lesie za Chapelwaite, gdzie wszystko więdnie i traci barwy, na trop śladów

mierzących półtora metra

każdy? Odwiedził pan przecież Dolę Jeruzalem. Czy przyzna pan z ręką na sercu,

że nic tam nie żyje?

Znów nie byłem w stanie wykrztusić słowa; ciągle miałem żywo w pamięci tamten

odrażający

kościół.

Pani Cloris złożyła swoje zdeformowane dłonie; zupełnie jakby chciała uspokoić

skołatane nerwy.

"Słyszałam o tym tylko od swojej matki, która z kolei usłyszała to od swojej.

Czy zna pan historię

rodziny Boone'ów zamieszkującej Chapelwaite?"

"Bardzo ogólnie" - odparłem. - "Od lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku dom

należał do

rodziny z linii Phillipa Boone'a, jego brat, Robert, mój dziadek, przeniósł się

do Massachusetts po

wielkiej kłótni na temat skradzionych dokumentów. O rodzinie Phillipa wiem



niewiele poza tym, że  
prześladowało ją pasmo nieszczęść ciągnące się z ojca na syna i na wnuki;  
Marcella zginęła w  
tragicznym wypadku, Stephen również umarł nagłą śmiercią. Życzeniem mego kuzyna  
było, żebym  
zamieszkał w Chapelwaite, by dom ten pozostał w rękach naszej rodziny i żeby  
dawne właśnie puścić  
w niepamięć".

"Nigdy do tego nie dojdzie" - szepnęła. - "Czy wie pan coś o przyczynie tamtej  
kłótni?"

"Roberta Boone'a przyłapano na przetrząsaniu biurka brata".

"Phillip Boone był szalony" - odparła. - "Paktował z siłami piekielnymi.

Przedmiotem, który Robert

Boone chciał zabrać, była bluźniercza Biblia napisana w starożytnych językach:

po łacinie, w

druidzkim i w kilku innych. Piekielna księga".

"De Vermis Mysteriis".

Pani Cloris cofnęła się, jakby ktoś uderzył ją prosto między oczy.

"Wie pan o tym?"

"Widziałem tę księgę... dotykałem jej..."

Znów sprawiała takie wrażenie, jakby miała za chwilę zemdleć. Zakryła dłonią  
usta tłumiąc krzyk.

"Tak, w Doli Jeruzalem" - ciągnąłem. - ;,Leżała na pulpicie w tamtejszym

straszliwym,

zbezczeszczonym kościele".

"A więc ciągle jest; ciągle tam jest". - Zachwiała się na krze- śle. - "A już  
sądziłam, że Bóg w

Swojej mądrości cisnął ją w otchłanie piekielne".

"Jaki był związek Phillipa Boone'a z Dolą Jeruzalem?"

"Związek krwi" - odparła posępnie. - "Nosił Znak Bestii ,

choć stroił się w szaty Baranka. Nocą trzydziestego pierwszego października

tysiąc siedemset

osiemdziesiątego dziewiątego roku Phillip Boone zniknął... a wraz z nim wszyscy

mieszkańcy tego

przeklętego miasta".

Powinna była mi powiedzieć więcej; najwyraźniej jeszcze coś wiedziała. Ale

zaczęła błagać, żebym

już sobie poszedł, a jako powód podała, że "krew wzywa krew", i mruzczała pod

nosem o "tych, którzy

patrzą, i o tych, którzy stoją na straży". Zapadał z wolna zmierzch, a pani

Cloris była coraz bardziej

niespokojna, więc żeby ją sobie zjednać, obiecałem, że wszystkie jej słowa wezmę

pod głęboką

rozwagę.

Kiedy wracałem do domu w szybko zapadającym zmierzchu, opuścił mnie cały dobry

nastrój. Pod

czaszką tłukło mi się wiele pytań. Cal przywitał mnie wiadomością, że hałasy w

ścianach przybrały na

sile... co mogę w tej chwili potwierdzić. Próbuję sobie wmawiać; że to tylko

szczury, ale cały czas

mam przed oczyma twarz pani Cloris.

Nad morzem wzeszedł księżyc, opasty, pełny, w kolorze krwi, zalewając ocean

niezdrowym

blaskiem. Ponownie wracam myślą do kościoła i

(wykreślona linia)

Ale Ty tego nie zrozumiesz, Bonesie. To zbyt szalone. Chyba muszę iść spać. Cały

czas jestem

myślami z Tobą.

Wyrazy szacunku

CHARLES

(Poniższy zapis pochodzi z prywatnego dziennika Calvina McCanna). .

20 paźdz. 50 r.

Pozwoliłem sobie dziś rano sforsować zamek spinający stronicę książki; zrobiłem

to przed powrotem

pana Boone'a. Cały trud na nic; książka napisana jest szyfrem. Podejrzewam, że

prostym. Za- pewne

uporałbym się z nim równie łatwo jak z zamykającym książkę zamkiem. Diariusz.

Jestem przekonany,

że napisany został ręką pana Boone'a. Jaką inną książkę trzymałby na

najciemniejszej półce w

bibliotece i na dodatek zamykałby ją na specjalny zamek? Sprawia wrażenie

starej, ale kto to wie.

Później napiszę więcej, jeśli czas pozwoli; pan Boone koniecznie uparł się

zbadać piwnice.

Obawiam się, że przerażające wydarzenia, które mają tutaj miejsce, mogą fatalnie

wpłynąć na jego

zdrowie. Muszę koniecznie wyperswadować mu tę wyprawę...

Ale właśnie wraca.

20 paźdz. 1850 r.

BONESIE!

Nie mogę pisać Nie mogę [sic] jeszcze o tym pisać Ja Ja Ja

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

20 paźdz. 50 r.

Tak jak się obawiałem, zapadł ciężko na zdrowiu...

Ojcie nasz, któryś jest w niebie!

Nie jestem w stanie o tym myśleć; ale mam to wypalone na dnie mojej duszy... ową

zgrozę z

piwnicy...!

Jestem teraz sam. Na zegarze wybiło wpół do dziewiątej, dom pogrążony w ciszy,

ale...

Znalazłem go nieprzytomnego przy stole, który służy mu do pisania. Teraz śpi.

Jakże szlachetnie i z

jaką godnością zachował się tam, kiedy przez kilka chwil stałem wstrząśnięty i

jak sparaliżowany!

Skórę ma woskowej barwy i chłodną; dzięki Bogu, gorączka minęła. Nie ważę się

zabrać go do

miasteczka ani zostawić go tu samego i pójść osobiście. Ale gdybym nawet

zdecydował się tam

wybrać, któż przyjdzie ze mną, żeby mu pomóc? Któż przyjdzie do tego przeklętego

domu?

Och, piwnica. To stwory z piwnicy nawiedzają nasze ściany!

22 paźdz. 1850 r

**DROGI BONESIE!**

To znowu ja, choć po trzydziestu sześciu godzinach stanu nie- świadomości jestem

przeraźliwie

słaby. Znowu ja... brzmi to jak ponury, gorzki żart. Nigdy już nie będę sobą.

Nigdy. Stałem oko w

oko z szaleństwem i zgrozą stokroć przekraczającą możliwość opisania jej przez

człowieka. A to

jeszcze wcale nie koniec.

Sądzę, że gdyby nie Cal, nadszedłby mój kres. Cal jest jedyną wyspą normalności

na tym morzu

szaleństwa.

O wszystkim ci teraz opowiem.

Zaopatrzyliśmy się w świece, które miały nam służyć podczas przeszukiwania

piwnicy. Dawaty

silne światło, zupełnie wystarczające do naszych celów - diablo wystarczające.

Calvin wszelkimi

sposobami starał się wyperswadować mi tę wyprawę, powoływał się na moją

długotrwałą chorobę,

którą niedawno przeszedłem, utrzymywał, że wystarczy, jeśli powykładamy mocne

trutki na szczury.

Ja jednak stanowczo nalegałem, więc i Calvin w końcu musiał ulec. Westchnął

ciężko i oświadczył:

"Skoro pan musi, panie Boone, chodźmy".

Do piwnicy prowadzą drzwi zapadowe umieszczone w podłodze w kuchni [Cal zapewnia

mnie, że

teraz, po tym wszystkim, co tam zobaczyliśmy, zabił je na głucho deskami].

Unieśliśmy je z naj-

wyższym trudem.

Z ciemności uderzył w nas okropny smród niewiele różniący się od tego, który

przenikał opuszczone

miasteczko nad Royal River. Światło bijące z mojej świecy padło na strome schody

niknące w mroku.

Były w fatalnym stanie - w jednym miejscu brakowało im nawet stopnia i zamiast

niego ziała czarna

dziura... natychmiast zrozumiałem, w jaki sposób zginęła nieszczęsna Marcella.

"Proszę bardzo uważać, panie Boone" - ostrzegł Cal. Odparłem, że cały czas

uwagam, i ruszyliśmy

na dół.

Na dole było klepisko i zupełnie suche ściany z granitu. Miejsce nie sprawiało

wrażenia rajy dla

szczurów; nie było tam nic, z czego mogłyby budować gniazda, żadnych starych

pudeł, połamanych

mebli, stert papieru i tym podobnych rzeczy. Unieśliśmy świece wysoko nad głowy,

uzyskując

niewielki krąg światła, dzięki któremu mogliśmy w miarę swobodnie się rozglądać.

Klepisko

stopniowo opadało. Najwyraźniej znajdowało się pod głównym salonem i jadalnią -

to znaczy po

stronie zachodniej. Tam też ruszyliśmy. Panowała głucha cisza. Zaduch stawał się

coraz silniejszy i

zdawało się, że mrok napiera na nas niczym posępna wełna; zupełnie, jakby

ciemność była zazdrosna

o światło, które chwilowo, po wielu latach, przejęło władzę nad jej dziedziną.

Na samym końcu granitowe ściany ustąpiły, a w. ich miejsce pojawiło się gładkie,

matowe, czarne

jak smoła drewno. Tam też kończyła się piwnica, bo główna komora przechodziła w

rodzaj niszy.

Żeby dostać się do tej wnęki, należało skręcić.

Bez wahania ruszyliśmy w tamtą stronę.

Pojawiło się przed nami straszliwe widmo przeszłości. Pośrodku niszy stało

samotne krzesło, a nad

nim zwieszał się, przywiązany do wbitego w belkę podporową haka, przegniły

konopny sznur

zakończony pętlą.

"A więc tutaj się powiesił" - mruknął Cal. - "Boże!"

"Tak... a u stóp schodów leżały zwłoki jego córki".

Cal zaczął coś mówić; i nagle jego wzrok przeniósł się na jakiś punkt za moimi

plecami. Wtedy

zaczął krzyczeć.

Bones, sam nie wiem, jak opisać Ci widok, który ujrzałem. Jak mam opisać

przerażających

mieszkańców, którzy gnieździli się w naszych murach?

Przeciwną ścianą odchyliła się i zamajaczyła w ciemnościach, skierowała w

naszą stronę twarz -

twarz o oczach czarnych jak sam Styks. Bezzębne usta wykrzywił przerażający

uśmiech; wy-

ciągnęła się do nas żółta przegniła ręka. Stwór zakwilił obrzydliwie i niepewnie

postąpił krok w naszą

stronę. Światło mojej latarni padło na...

Na jego szyi ujrzałem siną pręgę zostawioną przez sznur! Za potworem

dostrzegliśmy jakiś ruch.

Popatrzyłem w tamtą stronę i zobaczyłem coś, o czym będę śnił aż do dnia, w

którym w ogóle

przestanę o czymkolwiek śnić - zobaczyłem dziewczynę o bladej, gnijącej,

wyszczерzonej w trupim

uśmiechu twarzy. Jej głowa zwieszała się pod przyprawiającym o obłąd kątem.

Chcieli nas; wiem o tym. Wiem również, że gdybym nie cisnął w stwora latarnią, a

następnie

stojącym pod pętlą krzesłem, masz- kary zaciągnęłyby nas w mrok, żebyśmy stali się tacy sami jak one.

Wszystko, co było dalej, spowija litościwy, nieprzenikniony mrok. Na mój umysł spadła kurtyna.

Ocknąłem się, jak powie- działem, w swoim pokoju, a obok stał Cal.

Gdybym mógł, w samej tylko pidżamie i kapciach uciekłbym z tego przerażającego domostwa. Ale

nie mogę. Stałem się pionkiem w jakimś większym, mrocznym dramacie. Nie pytaj mnie, skąd o tym

wiem... po prostu wiem. Pani Cloris miała rację, kiedy wspomniała o krwi, która wzywa krew; jakżeż

bliska była prawdy mówiąc o tych, którzy patrzą, i o tych, którzy stoją na straży. Obawiam się, że

rozbudziłem Siłę, co drzemała od półwiecza w miasteczku Dola Jeruzalem; Siłę, która uśmierciła

moich przodków, biorąc ich w bezbożną niewolę jako nosferatu - Nie umarłych. Ale jakkolwiek

dostrzegam tylko ułamek całości, Bonesie, obawiam się czegoś o wiele gorszego.

Gdybym wiedział...

gdybym tylko wiedział!

CHARLES

Postscriptum. Naturalnie, na razie piszę to wszystko do szuflady; Preacher's

Corners izoluje się od

nas. Nie odważyłbym się udać ze swoim piętrem na pocztę, a Calvin nie zostawi mnie tu samego.



Niemniej, jeśli dobry Bóg dopuści, w ten czy w inny sposób, list ten do Ciebie dotrze.

C.

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

23 paźdz. 50 r.

Z dnia na dzień nabiera sił; zamieniliśmy kilka słów o widziadle w piwnicy;

zgodziliśmy się, że nie

była to ani halucynacja, ani skutek działania ekto plazmy, lecz najprawdziwsza w świecie

rzeczywistość. Czy pan Boone, podobnie jak ja, uważa, że odeszli? Być może.

Hałasy się uspokoiły,

ale w powietrzu ciągle wisi coś złowieszczonego, jakby dom spowijał mroczny całun.

Odnoszę

wrażenie, że czekamy w złudnym Oku jakiegoś dziwnego Cyklonu...

W sypialni na piętrze, w dolnej szufladzie w szafie z żaluzjowym zamknięciem,

znalazłem paczkę

papierów. Korespondencja plus pokwitowania rachunków wyraźnie wskazują, że pokój

ten należał

ongis do Roberta Boone'a. Ale najciekawszych jest kilka notatek zrobionych na

odwrocie reklamy

męskich czapek z bobrowego futra. Na górze napisane jest dużymi literami:

Błogostawieni ubodzy

Poniżej widnieje pozorny nonsens:

bko dohłewmehis bsday

ehng osrari snaudodzd

Jestem pewien, że trafiłem na klucz do szyfru, jakim napisano ową zamykaną na

zamek księgę. Z

całą pewnością jest to prymitywny szyfr stosowany podczas wojny o niepodległość,  
znany pod nazwą

"sztachety w płocie". Kiedy opuści się co drugie "zero.", otrzymamy:

boółweibdy

łgsainuoz

Należy czytać to z góry na dół, a nie wzdłuż, i w sumie daje to początkowy cytat

z

"Błogosławieństw" \*.

Zanim ośmielę się pokazać to panu Boone'owi, muszę najpierw osobiście dowiedzieć

się, o czym ta

księga traktuje...

24 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Zdumiewające zjawisko - Cal, zawsze tak małowówny, jeśli nie jest pewien swojego

[rzadki i

pochwały godny rys ludzkiego charakteru], odnalazł diariusz mojego dziadka,

Roberta. Doku- ment

został napisany szyfrem, który Cal samodzielnie złamał. Skromnie stwierdził, że

na pomysł

rozwiązania wpadł przez czysty przypadek, ale podejrzewam, że krył się za tym

upór i ogrom

włożonej pracy.

Tak czy siak, jakżeż ponure światło rzuca ten dokument na kryjące się tutaj

tajemnice!

Wstępny zapis pochodzi z pierwszego czerwca tysiąc siedemset osiemdziesiątego

dziewiątego roku,

a ostatni z dwudziestego siódmego października tegoż roku... czyli cztery dni

przed owym

dramatycznym zniknięciem, o którym wspominała pani Cloris. Diariusz opowiada o

pogłębiającej się

obsesji - mało, o szaleństwie - i w odrażający sposób wyjaśnia związek między

moim ciotecznym

dziadkiem Phillipem, miasteczkiem Dola Jeruzalem a księgą, która spoczywa w

zbezczeszczonym

kościółce.

Samo miasteczko, wedle relacji Roberta Boone'a, powstało wcześniej niż

Chapelwaite (zbudowane

w tysiąc siedemset osiem- dziesiątym drugim roku) i Preacher's Corners (powstałe

w tysiąc siedemset

czterdziestym pierwszym i noszące pierwotnie nazwę Preacher's Rest \*). Założyła

je w roku tysiąc

siedemset dziesiątym grupa purytan, którzy odłączyli się od swego macierzystego

kościółka.

Przewodził im surowy fanatyk religijny James Boone. Jakżeż mnie to zaskoczyło!

Jego koligacje z

moją rodziną nie mogą budzić najmniejszych wątpliwości. Pani Cloris, w swojej

zabobonnej wierze,

miała rację twierdząc, że w tej kwestii rodzinna krew ma znaczenie kluczowe. Ze

zgrozą

przypominam sobie teraz jej od- powiedź na moje pytanie o Phillipa i jego

związek z Dolą Jeruzalem.

Odparła: "związek krwi", i obawiam się, że o to w tym wszystkim chodzi.

Miasteczko rozbudowywało się w cieniu kościoła, w którym Boone głosił kazania...

i sprawował

władzę. Mój dziadek daje również do zrozumienia, że James Boone utrzymywał intymne związki z ogromną liczbą kobiet z miasteczka, zapewniwszy je, że taka jest wola Boga. W rezultacie osada stała się anomalią, jaka mogła zaistnieć wyłącznie w takich wyizolowanych warunkach i w dziwacznych czasach, kiedy wiara w czarownice i wiara w nie- pokalane poczęcie szły ze sobą w parze - wypaczone, zdegenerowane, przesiąknięte religijną manią miasteczko rządzone przez na wpół oszalałego kaznodzieję, którego doktryna opierała się na dwóch księgach: na Biblii i na złowieszczym dziele Gaudge'a Mieszkanie szatana; społeczność, gdzie na porządku dziennym był rytuał egzorcyzmów; społeczność szalona i kazirodcza, pełna fizycznych defektów zawsze temu grzechowi towarzyszących. Podejrzewam [wierzę, że Robert Boone był tego samego zdania], że jeden z synów z nieprawego łoża Boone'a opuścił Dolę Jeruzalem [albo został z niej wygnany], żeby szukać szczęścia na południu - i w ten sposób zapoczątkował naszą linię rodową. Dobrze wiem na podstawie rodzinnych przekazów, że gałąź naszej rodziny wzięła początek w tej części stanu Massachusetts, która później się oderwała i utworzyła odrębny stan Maine. Mój pradziadek, Kenneth Boone, zbił majątek na kwitnącym w tamtych czasach handlu futrami. To za jego pieniądze,

pomnożone dzięki

późniejszym rozumnych inwestycjom w wiele lat po jego śmierci w roku tysiąc

siedemset

sześćdziesiątym trzecim, zbudowano ten rodowy dom. Chapelwaite wznieśli jego

synowie, Phillip i

Robert. "Krew wzywa krew", oświadczyła pani Cloris. A może Kenneth, rodzony syn

Jamesa

Boone'a, uciekł od szaleństwa swego ojca i jego miasteczka, żeby mieć synów i

zbudować dom

Boone'ów niecałe trzy kilometry od miejsca, w którym wziął początek ród

Boone'ów? Jeśli tak, czyż

nie wydaje się słuszne przypuszczenie, że naszym losem kierowała jakaś potężna i

niewidzialna Dłoń?

Zgodnie z diariuszem Roberta, James Boone w roku tysiąc siedemset

osiemdziesiątym dziewiątym

był już bardzo leciwy - i tak rzeczywiście musiało być. Jeśli to prawda, że

założył miasto w wieku

dwudziestu pięciu lat, musiał sobie liczyć sto cztery lata - niesamowity wiek.

Zacytuję Ci teraz

fragment z diariusza Roberta Boone'a.

4 sierpnia 1789

Dzisiaj po raz pierwszy spotkałem tego Człowieka, z którym mój Brat tak

chorobliwie się związał;

muszę przyznać, że ten Boone posiada dziwny Magnetyzm, który trwoży mnie Wielce.

Jest naprawdę

Wiekowy, z białą brodą i w czarnej Sutannie, która wydala mi się w jakiś sposób

odstręczająca.

Bardziej konfundujący by1 Fakt, że obsiadły go Kobiety, niczym jakiegoś Sultana otoczonego przez swój Narem; a P. zapewnia mnie, że on jest jeszcze aktywny, jakkolwiek to starzec co najmniej Osiemdziesięcioletni... Samą Wioskę odwiedziłem dotychczas tylko raz i nie chcę tam pojawić się więcej; na Ulicach panuje głucha cisza, a wszystko przenika Strach, który Starzec sieje z Ambony.

Odnosiłem wrażenie, że wszystkie Twarze są tam takie same i wydawało mi się, że ilekroć się obejrzę, ujrzę Oblicze Starca... wszystkie są takie bez wyrazu; wyprane z Blasku i Emocji, jakby coś wyszło z nich całą Żywotność: Widziałem Dzieci bez Oczu i bez Nosów, Kobiety, które bez Powodu łkały, mamrotały, wskazywały Niebo i przeinaczały słowa Pisma Świętego, żeby rozmawiać z Demonami...'

P. życzył sobie, abym pozostał na Nabożeństwie, ale myśl o tym złowieszczym Starcu na Ambonie i Słuchaczach składających się ze skrzyżowanych ze sobą Mieszkańców Miasteczka, wzbudziła we mnie odrazę i Wymówiłem się pod byle Powodem...

Zapiski, zarówno poprzedzające ten ustęp, jak i następne, opowiadają o rosnącej fascynacji Phillipa osobowością Jamesa Boone'a. Pierwszego września tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku Phillip ochrzcił się w jego kościele i został przyjęty w poczet wiernych.

Jego brat mówi:

Przejmowała mnie Zgroza i Przerażenie - mój Brat zmieniał się w oczach - wydawało się zgoła, że zaczyna być podobny do tamtego nikczemnego Człowieka.

Pierwsza wzmianka o księdze pochodzi z dwudziestego trzeciego lipca. Diariusz Roberta kwituje to

krótko: P., moim zdaniem, dzisiejszego wieczora wrócił z mniejszej Wioski z Obliczem raczej dzikim.

Nie odezwał się słowem aż do chwili, kiedy szedł Spać. Oświadczył wtedy, że Boone dopytywał się o

Księgę zatytułowaną "Tajemnica Glisty". Żeby zadowolić P., obiecałem mu, że napiszę do firmy Johns

& Goodfellow i zapytam o tę książkę; P. aż się płaszczyl z Wdzięczności.

W notatce z dwunastego sierpnia Robert napisał: Otrzymałem dwa listy na Pocztę dzisiaj... jeden z

firmy Johns & Goodfellow w Bostonie. Przysłali Notkę o Księdze, którą P. się interesuje. W Kraju tym

istnieje tylko pięć Egzemplarzy. List raczej chłodny; rzecz. zastanawiająca.

Przecież Henry'ego

Goodfellowa znam od Lat.

13 sierpnia:

P. jak szaleniec podniecony listem Goodfellowa; nie chce powiedzieć dlaczego.

Wyznał tylko, że

Boone aż się pali, żeby zdobyć Egzemplarz. Nawet nie staram się zgłębiać powodów tego niebywałego

zainteresowania, ponieważ Tytuł wydaje się wskazywać na nieszkodliwy Traktat naukowy z dziedziny

ogrodnictwa...

Niepokoję się o Phillipa; z Dnia na Dzień staje się dziwniejszy. Pragnę, żeby nie wracał do

Chapelwaite. Lato jest upalne, duszne, pełne Omenów.

W diariuszu Roberta istnieją jeszcze tylko dwie wzmianki o odrażającej księdze [chyba do końca nie

pojął jej znaczenia]. Oto fragment notatki z czwartego września:

Napisałem do Goodfellowa list z prośbą, żeby w imieniu P. zajął się Kupnem tej książki, aczkolwiek

Rozsądek zakazywał mi To czynić. A1e dlaczego miałbym niby tego nie zrobić?

Przecież nie kupował

za kradzione Pieniądze. Phillip Obiecał mi, że da sobie spokój z tym obrzydliwym

Baptyzmem... ale

ciągle jest taki Podekscytowany; zupełnie jakby miał Gorączkę; nie wierzę mu.

Jestem kompletnie

zbity z Pantaląku...

I druga notatka, z szesnastego września:

Dzisiaj nadeszła Książka, a wraz z nią list od Goodfellowa, że nie życzy sobie robić ze mną więcej

Interesów... P. był podniecony ponad wszelką Miarę - wręcz wyrwał mi Księgę z

Rąk. Napisana w

niepoprawnej łacinie i Pismem Runicznym, o którym nic nie wiem. Wolumin ten

zdawał się zgoła

wydzielać przy Dotyku ciepło i wibrował w moim Ręku, jakby posiadał jakąś

obłądną Moc...

Przypomniałem P. o Obietnicy, że będzie trzymał się od tego wszystkiego z

daleka, a1e on tylko



wybuchnął odrażającym śmiechem, prawie jak Szaleniec, wymachiwał mi Księgą przed

Twarzą i

krzyczał w kółko: "Mamy! Mamy! Glista! Sekret Glisty!"~

Teraz wyszedł, podejrzewam, że udał się do swego szalonego Benefaktora i Dzisiaj

już go nie

zobaczę...

O księdze nic już więcej nie ma, ale wyciągnąłem pewne wnioski, które wydają się

bardzo

prawdopodobne. Po pierwsze, księga ta, zgodnie z tym, co powiedziała pani

Cloris, stała się powodem

rozstania Roberta i Phillipa; po drugie, księga stanowi kopalnię bezbożnych

inkantacji, zapewne

pochodzenia druidzkiego [Rzymianie, którzy podbili Brytanię, w imię nauki

zachowali w przekazach

wiele krwawych rytuałów druidów i dlatego niektóre z tych piekielnych ksiąg

znajdują się pośród

zakazanej, światowej literatury]; po trzecie, Boone i Phillip zamierzali

wykorzystać księgę do swoich

celów. Zapewne w jakiś pokrętny sposób ich intencje były dobre, choć ja

osobiście w to nie wierzę.

Jestem święcie przekonany, że już wcześniej związali się z jakimiś bezimiennymi

siłami

egzystującymi poza naszym Wszechświatem... z siłami egzystującymi poza naszym

Czasem. Ostatnie

ustępy diariusza Roberta Boone'a rzucają posępne światło na dwóch moich przodków

i potwierdzają

moje spekulacje. Pozwalam sobie jeszcze raz oddać głos Robertowi:

26 października 1789

Okropne Plotki w Preacher ś Corners; Frawley, nasz Kowal, chwycił mnie za Ramię

i zapytał: "W

co wdali się twój Brat i ten Antychryst?" Goody Randall zaklina się, że były

Znaki na Niebie

wieszczące wielkie Nieszczęścia. Urodziła się Krowa z dwoma Głowami.

Jeśli idzie o Mnie, największym moim strapieniem jest Szaleństwo mego Brata. W

ciągu Jednej Nocy

posiwiął, Oczy ma nabiegłe krwią a ze Żrenic odeszły wszelkie przebłyski

Zdrowego Rozsądku. „Śmieje

się do siebie i mamrocze pod nosem Coś, co jest Zrozumiałe wyłącznie dla niego.

Jeśli nie przebywa w

Doli Jeruzalem, cały czas spędza w naszej Piwnicy.

Nad Domem i na Trawnikach pojawiają się roje Lelków Kozodojów; ich Piski

mieszają się z Mgłą

napływającą znad Morza, a nieziemski Wrzask wyklucza wszelką myśl o gniewie.

27 października 1789

Dziś Wieczorem, kiedy P. wybrał się do Doli Jeruzalem, poszedłem za nim.

Trzymałem się w

bezpiecznej Odległości, żeby uniknąć Wykrycia. Stada Przeklętych Lelków krążyły

w Lesie,

wypełniając wszystko przeraźliwym, monotonnym zawodzeniem. Nie odważyłem się

przekroczyć

Mostu. Miasto spowijały ciemności i światło paliło się tylko w Kościele, który

zatoniony był w

upiornym, czerwonym Blasku zamieniającym wysokie, łukowe Okna w Oczy Piekieł.

Głosy wznosiły

się i opadały w Diabelskiej Litanii, czasem słyszeć było śmiech, a czasem  
łkanie. Sama Ziemia  
wydawała się pęcznieć i jęczeć pod moimi stopami, jakby nosiła jakiś olbrzymi  
Ciężar. Uciekłem  
zdemiony i ogarnięty Przerażeniem. Kiedy biegłem przez pogrążony w mroku las,  
uszy kłuły mi  
przeszywające Wrzaski Lelków.  
Wydaje się, że wszystko zmierza do jakiegoś Punktu Szczytowego. Boję się Zasnąć  
ze względu na  
Sny, jakie mogą przyjść, ale i boję się nie spać ze względu na przerażające  
rzeczy, które mogą nadejść.  
Noc wypełniona jest okropnymi Dźwiękami i boję się...  
A jednak czuję nieprzepartą potrzebę pójść tam ponownie, zobaczyć, zrozumieć.  
Wydaje się, że to  
sam Phillip mnie wzywa i Starzec.  
Ptaki...  
przeklęty przeklęty przeklęty.  
Tutaj diariusz Roberta Boone'a się kończy.  
Ale musisz zwrócić uwagę, Bonesie, że on sam przyznaje, iż odniósł wrażenie, że  
Phillip osobiście  
go wołał. Ostateczne wnioski sformułowałem na podstawie tego, co wyczytałem w  
diariuszu, tego, co  
usłyszałem od pani Cloris, a przede wszystkim po obejrzeniu owych przerażających  
stworzeń w  
piwnicy - martwych, a jednak żywych. Nasz ród jest nieszczęśliwy, Bonesie. Cięży  
na nas  
przekleństwo, którego nie sposób się pozbyć... W tym domu i w tamtym miasteczku

istnieje jakiś

obrzydliwy cień życia. I ponownie zbliża się punkt kulminacyjny tego cyklu.

Jestem ostatnim z

Boone'ów. Obawiam się, że to coś również o tym wie. Wie, że jestem ogniwem w tym

łańcuchu zła,

którego umysł ludzki nie jest nawet w stanie pojąć. Rocznicą przypada w wigilię

Wszystkich

Świętych - to już za tydzień.

Co mam robić? Gdybyś tylko tu był, gdybyś mógł mi doradzić, pomóc! Gdybyś tylko

tu był!

Muszę się wszystkiego dowiedzieć; muszę wrócić do tego nawiedzonego miasteczka.

Może Bóg mi

pomoże!

CHARLES

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

25 paźdz. 50 r.

Pan Boone przespał prawie cały dzisiejszy dzień. Twarz ma bladą i wymizerowaną.

Obawiam się, że

wróci gorączka.

Kiedy zmieniałem mu wodę w karafce, ujrzałem na stole dwa nie wysłane listy do

pana Gransona na

Florydzie. Zamierza wrócić do Doli Jeruzalem; jeśli na to pozwolę, ta wyprawa go

zabije. Czy odważę

się wymknąć do Preacher's Corners, żeby wynająć jakiś powóz? Muszę, ale co się

stanie, jeśli obudzi

się pod moją nieobecność? Jeśli wrócę, a jego już nie będzie?

Znów rozlegają się hałasy w ścianach. Dzięki Bogu śpi! Jestem przerażony.

Później Przyniosłem mu na tacy kolację. Planuje wstać za trochę i mimo jego wykrętnych zapewnień, dobrze wiem, co zamierza uczynić. A jednak wybiorę się do Preacher's Corners. W moich rzeczach zostało kilka nasennych tabletek, które przepisano mu w czasie jego ostatniej choroby.

Rozpuściłem jedną w płynie, który wypił nieświadom tego, że w środku był proszek. Znowu śpi.

Przeraża mnie myśl, że zostawiam go sam na sam z tymi Tworami hałasującymi w ścianach. Z

każdym kolejnym dniem hałasy te trwożą mnie coraz bardziej. Zamknąłem go w pokoju na klucz.

Da Bóg, że kiedy wrócę z powozem, zastanę go bezpiecznego, w dobrym zdrowiu i wciąż pogrążonego w głębokim śnie.

Jeszcze później Ciskali we mnie kamieniami! Ciskali we mnie kamieniami jak we wściekłego psa! Potwory i demony! Ci, którzy noszą miano człowieka. Tkwimy tu jak w więzieniu...

Ptaki, lelki, zaczynają się gromadzić.

26 października 1850

**DROGI BONESIE!**

Już prawie zmierzch. Właśnie się obudziłem. Przespałem niemal dwadzieścia cztery godziny.

Jakkolwiek Cal nie zająknął się słowem na ten temat, podejrzewam, że mając na względzie moje

dobro, wsypał mi do herbaty środek nasenny. Jest dobrym, oddanym przyjacielem,

ma jak najlepsze

intencje, więc nic nie powiem.

Niemniej moje postanowienie jest niezłomne. Jutro też będzie dzień. Jestem

spokojny,

zdecydowany, ale odnoszę wrażenie, że wraca mi gorączka. Jeśli tak rzeczywiście

jest, wszystko musi

wydarzyć się jutro. Zapewne lepiej, żebym uczynił to dzisiejszej nocy. Ale nawet

ogień piekielny nie

zmuszą mnie do postawienia po ciemku stopy w tamtym miasteczku.

Kończę, Bonesie, niech Bóg czuwa nad tobą.

CHARLES

Postscriptum. Znów zaczęły się wydzierać ptaki i ponownie dochodzą owe

przerażające szurania.

Cał myśli, że ich nie słyszę, ale ja słyszę je bardzo dobrze.

C.

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

27 paźdz. 50 r.

Piąta nad ranem

Jest nieugięty w swoim postanowieniu. Bardzo dobrze. Idę z nim.

4 listopada 1850

DROGI BONESIE!

Słaby, ale przytomny. Nie jestem pewien daty, lecz kalendarz przyptywów i

odptywów morza oraz

wschodów i zachodów słońca upewnia mnie, że w nagłówku listu umieściłem właściwą

datę. Siedzę

przy tym samym biurku, na którym pisałem do Ciebie pierwszy list z Chapelwaite,

i spoglądam na

mroczniejące morze, które pławi się w ostatnich przebłyskach dnia. Noc nadchodzi szybko. Kolejnego zachodu słońca nigdy już nie zobaczę. Ta noc należy do mnie; później wszystko zostawię, choć nie wiem, jaki będzie ten cień, w który wkroczę.

Z jaką siłą fale morskie tłuką w skały przylądka! W ciemniejące niebo biją strugi piany. Ocean sprawia, że pod moimi stopami drży podłoga. W szybie widzę swoje odbicie; twarz mam bladą jak wampir. Od dwudziestego siódmego października nie miałem nic w ustach. Nie miałbym również wody, gdyby tamtego dnia Calvin zapobiegliwie nie postawił mi przy łóżku pełnej karafki.

Och, Cal! Jego już nie ma, Bonesie. Poszedł za mnie, poszedł zamiast tego nikczemnika o patykowatych kończynach i kościstej twarzy, którego odbicie widzę w szybie. A jednak może przypadł mu w udziale lepszy los; nie dręczą go już sny, które w ciągu tych kilku ostatnich dni towarzyszyły mi ciągle. Pokraczne kształty, które czają się w koszmarach korytarzach delirium.

Nawet teraz trzęsą mi się ręce; poplamiałem papier atramentem.

Tamtego ranka, kiedy zamierzałem się wymknąć chyłkiem z domu, stanął przede mną Cal... a wydawało mi się, że jestem taki przebiegły. Oświadczyłem mu wcześniej, że zdecydowałem się wyjechać z Chapelwaite, i poleciłem, żeby udał się do odległego o jakieś

piętnaście kilometrów

Tandrell, gdzie byliśmy mniej znani, i wynajął dwukołowy wózek konny. Zgodził

się, a później

widziałem go, jak oddalał się drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża.

Kiedy już zniknął mi z oczu, szybko przygotowałem się do wyprawy. Wdziałem palto

i szalik

[zdarzały się już przymrozki; pierwsze zwiastuny nadchodzącej zimy]. Przez

chwilę zastanawiałem

się, czy nie zabrać rewolweru, ale rozśmieszył mnie ten pomysł. Co na to może

pomóc rewolwer?

Wymknąłem się kuchennym wyjściem. Na chwilę przystanąłem w progu, żeby jeszcze

raz rzucić

okiem na morze i niebo; chciałem jeszcze raz odetchnąć świeżym powietrzem,

ponieważ niebawem

wdychać miałem odór zgnilizny... Chciałem jeszcze raz popatrzeć na szybujące pod

niskimi chmurami

mewy.

Odwróciłem się... Przedemną stał Calvin McCann.

"Nie powinien pan tam iść sam" - oświadczył.

Takiej powagi na jego twarzy nigdy jeszcze nie widziałem.

"Ależ Calvinie..." - zacząłem.

"Ani słowa, proszę pana! Pójdziemy razem i zrobimy to, co musimy, albo siłą

zawłokę pana z

powrotem do domu. Nie czuje się pan najlepiej. Nie wolno panu iść samemu".

Nie potrafię oddać uczuć, jakie mną zawładnęły: zmieszanie, uraza,

wdzięczność... ale przede

wszystkim ogromna miłość.



W milczeniu minęliśmy letni domek i zegar słoneczny, minęliśmy pokryty  
wodorostami brzeg  
morza, po czym zagłębiliśmy się w las. Panowała śmiertelna cisza - ptak nie  
zaśpiewał, nie trzasnęła  
gałązka. Zdawało się, że na świat opadł całun milczenia. Ciągłe tylko  
towarzyszył nam zapach soli  
oraz płynąca z oddali delikatna woń dymu. Las stał w przepysznej szacie  
jesiennych barw, ale moim  
zdaniem przeważał w nich szkarłat.  
Niebawem zapach soli rozwiął się, a jego miejsce zajął inny, bardziej  
złowieszczy odór tamtego  
miejsca - smród zgnilizny, o którym już wspominałem. Kiedy dotarliśmy do  
chybotliwego mostu  
spinającego brzegi Royal River, spodziewałem się, że Cal ponownie zacznie  
nalegać, żebyśmy  
zaniechali dalszej wędrówki. Ale on nie odezwał się słowem. Przystanął tylko,  
obrzucił spojrzeniem  
kłującą szyderczo niebo iglicę kościoła i popatrzył na mnie. Podjęliśmy marsz.  
Przepełnieni lękiem, ale zdecydowani kroczyliśmy do kościoła Jamesa Boone'a.  
Drzwi były ciągle  
rozwarłe, jak zostawiliśmy je ostatnim razem, a panujący wewnątrz mrok  
najwyraźniej tupał na nas  
pożądliwie. Kiedy wstępowaliśmy na schodki, poczułem, że serce we mnie zamiera,  
a gdy kładłem  
dłoń na klamce i otwierałem drzwi, palce mi drżały. Smród w środku był chyba  
jeszcze gorszy i  
bardziej chorobliwy niż poprzednio.

Weszliśmy do pogrążonego w półmroku przedsionka, a z niego bez chwili zwłoki do kościoła.

Panował tam nieopisany bałagan.

Kościół zdemolowało coś ogromnego. Ławki były powywracane, połamane i jak bierki ciśnięte

niedbale na stos. Odrażający krzyż leżał pod wschodnią ścianą, a dziura w murze świadczyła, z jaką

siłą nim rzucono. Lamy oliwne powyrywano z obudowy, toteż opary tranu mieszały się z okropnym

smrodem, który przenikał całe miasteczko. A wzdłuż nawy głównej, jak upiorny ślubny kobierzec,

ciągnęła się smuga czarnego błota wymieszanego z posoką. Prowadziła do ambony - jedynej nie

naruszonej rzeczy w kościele. Na pulpicie, znad bluźnierczej Księgi, spoglądało na nas nieruchomymi,

szklistymi oczyma zarżnięte jagnię.

"Boże" - szepnął Calvin.

Podeszliśmy w tamtą stronę, unikając jak ognia szlamu na posadzce. Nasze kroki budziły rozliczne

echa, które zmieniały odgłos stąpania w czyjś grzmiący śmiech.

Na podwyższenie weszliśmy jednocześnie. Jagnię nie zostało zarżnięte czy zagryzione. Coś lub ktoś

tak mocarnie je ścisnął, że stworzeniu popękały naczynia krwionośne. Krew rozlewała się odrażającą,

gęstą kałużą na ołtarzu i spływała do jego podstawy... ale na samej księdze zalegała tylko cienką,

przezroczystą warstwą i zawiłe runy widoczne były niczym przez kolorowe szkło!

"Czy musimy jej dotykać?" - spytał niewzruszony Cal.

"Tak. Muszę ją zabrać".

„Po co?”

"Żeby zrobić to, co należało uczynić sześćdziesiąt lat temu. Zamierzam ją zniszczyć".

Odciągnęliśmy martwe jagnię; zwłoki upadły na posadzkę ze wstrętnym, mlaszczącym dźwiękiem.

Zbrukane krwią stronice zdawały się wydzielać własny, szkarłatny blask.

W uszach zaczęło mi dzwonić i szumieć; ze ścian świątyni płynął niski, monotony śpiew. Widząc

skrzywioną twarz Cala, pojąłem, że on również to słyszy. Ziemia pod stopami zadrżała, jakby

przybywał mieszkaniec tego nawiedzonego kościoła, żeby bronić swej własności.

Struktura normalnej

przestrzeni i czasu zdawała się pękać i łamać. Kościół wypełnił się widmami,

lśniąc piekielnym

blaskiem odwiecznego, zimnego ognia. Wydawało mi się, że dostrzegam przerażającą i zniekształconą

postać Jamesa Boone'a, tańczącego wokół spoczywającego na wznak ciała kobiety, a tuż za nim

ujrzałem mego ciotecznego dziadka Phillipa, nowicjusza, odzianego w czarną sutannę z kapturem. W

dłoniach trzymał nóż i puchar.

Deum vobiscum magna vermis...

Widniejące na stronicy księgi słowa zadrżały i wykrzywiły się, pławiły się w ofiarnej krwi,

nagrodzie dla stwora, który przybył spoza gwiazd...

Ślepi, wymieszani ze sobą wierni kołysali się w zapamiętałym, demonicznym modlitewnym ruchu;

ich zdeformowane twarze wy- pełnione były żarliwym, odrażającym oczekiwaniem...

Teraz łacinę zastąpił starszy język, pochodzący z czasów, kiedy nie było jeszcze Egiptu i piramid,

pochodzący z czasów, kiedy Ziemia stanowiła jeszcze kulę kipiącego w pustej przestrzeni gazu...

Gyyagin vardar Yogsoggoth! iierminis! Gyyagin! Gyyagin! Gy- yagin!

Pulpit zaczął drżeć i pękać, unosić się w powietrze...

Calvin wrzasnął i unióś ramię, żeby zasłonić twarz. Cały ołtarz i absyda kościoła trzęsły się

potężnym, mrocznym ruchem, jak okręt ciskany przez burzę. Porwałem księgę i trzymałem ją w wy-

ciągniętych rękach; odnosiłem wrażenie, że spali mnie żarem stoń- ca, spopieli, oślepi.

"Niech pan ucieka!" - wrzasnął Calvin. - "Niech pan ucieka!"

Ale stałem jak słup soli i obca istota wypełniła mnie niczym starożytne naczynie, które czekało

przez lata... przez całe pokolenia!

"Gyyagin vardar!" - wrzasnąłem. - "Sługa Yogsoggotha, Bezimiennego! Glisty spoza Przestrzeni!

Pożeracz Gwiazd! Niszczyciel Czasu! Verminis! Oto nadchodzi Godzina Spełnienia!

Czas Zapłaty!

Verminis! Alyah! Alyah! Gyyagin!"

Calvin pchnął mnie. Zachwiałem się, kościół zawirował mi przed oczyma i upadłem na posadzkę.

Uderzyłem głową w krawędź przewróconej ławki i czaszkę objął mi ogień... ale

umysł jakby mi  
przejaśniał.

Po omacku sięgnąłem po zapałki, które ze sobą zabrałem.

Kościół wypełnił dobiegający z trzewi ziemi grzmot. Ze ścian i z sufitu zaczęły  
płatami odpadać gips.

Zardzewiały dzwon na wieży kościelnej odezwał się zdławionym, diabelskim  
kurantem, współczującą  
wibracją.

Zapłonęła zapałka. Dotknąłem nią księgi w tej samej chwili, kiedy eksplodował  
pulpit i roztrzaskał

się na drzazgi. Na jego miejscu rozwarła się otchłań. Cał zachwiał się na jej  
krawędzi, wyciągnął

ramiona, otworzył usta w przeraźliwym krzyku, który zapamiętam do końca swoich  
dni.

I wtedy napłynęło olbrzymie, szare, drgające cielsko. Smród przechodził wszelkie  
wyobrażenie.

Była to olbrzymia, wylewająca się, zawieszona, pokryta pęcherzami galareta,  
monstrualny, odrażający

kształt, który bił w niebo prosto z najgłębszych otchłani ziemi. I wtedy też, w  
nagłym, straszliwym

przebłyску, pojąłem to, o czym nie wiedział żaden człowiek. Spostrzegłem, że był  
to zaledwie jeden

pierścień, jeden tylko segment potwornej glisty, która pozbawiona oczu przez  
lata trwała w sklepionej

pieczarze mroku pod tym odrażającym kościołem!

Księga w moim ręku płonęła jasnym płomieniem, a Stwór krzyczał nade mną  
bezglęśnym

wrzaskiem. Trafiony koszmarnym ciosem Calvin z przetrąconym karkiem przeleciał przez cały kościół jak szmaciana lalka. To coś zapadało się... Stwór zapadał się., zostawiając jedynie olbrzymią dziurę otoczoną zwałami czarnej piany, a powietrze rozdarł potężny krzyk i okropne mlaskanie, które ginęły w jakiejś ogromnej dali. W końcu zapadła cisza. Popatrzyłem pod nogi. Z księgi pozostał tylko popiół. Zacząłem się śmiać, potem zawodzić jak zraniona bestia. Opuścił mnie cały zdrowy rozsądek, usiadłem na podłodze, ze skroni płynęła mi krew, krzychałem i mamrotałem coś w tym bezbożnym mroku, a Calvin leżał rozciągnięty w odległym kącie, spoglądając na mnie nieruchomymi, lśniącoymi oczyma, w których zakrzepł wyraz najwyższej trwogi. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Nie potrafię tego określić. Ale kiedy wróciła mi zdolność jasnego myślenia, otaczające mnie cienie wydłużyły się; zapadał zmrok. Uwagę moją przykuł ruch w dziurze wybitej w posadzce kościoła. Pośród potrzaskanych desek podłogi pojawiła się dłoń. Szaleńczy rechot zamarł mi w gardle. W jednej chwili miejsce hysterii zajęła zgroza. Poczułem, że z głowy odpływa mi cała krew. Ze straszliwą, mściwą powolnością gnijąca postać wydobywała się z ciemności, odwracając w moją

stronę połowę czaszki. Na czole, po gołym mięsie spacerowały robaki. Zgniła  
sutanna zwisała krzywo  
z próchniejących obojczyków. Tylko oczy były żywe - czerwone, pełne szaleństwa  
jamy spoglądały  
na mnie z wyrazem czegoś więcej niż szaleństwo; spoglądały na mnie pełne pustego  
życia  
niezmierzonych pustek poza granicami naszego Wszechświata.  
Stwórz przyszłość, żeby zabrać mnie na dół, w ciemność.  
I wtedy, skrzecząc, uciekłem. Zostawiłem ciało mego wieloletniego przyjaciela w  
tamtym miejscu  
żywej zgrozy. Biegłem tak długo, aż powietrze w moich płucach i mózg w czaszce  
stały się niczym  
rozpalona magma. Biegłem tak długo, aż dotarłem do tego nawiedzonego i  
splugawionego domu, do  
mego pokoju, gdzie upadłem i jak martwy leżałem aż do dzisiaj. Biegłem, ponieważ  
nawet mimo  
szaleństwa, jakie mnie ogarnęło, mimo że stwór był animowanym w przerażający  
sposób trupem,  
dostrzegłem w nim rodzinne podobieństwo. Ale nie był to ani Phillip, ani Robert,  
których portrety  
wiszą w galeii na piętrze. Owo gnijące oblicze należało do Jamesa Boone'a,  
Strażnika Glisty!  
Ciągle żyje gdzieś w splątanych, pozbawionych światła otchłaniach rozciągających  
się pod Dolą  
Jeruzalem i Chapelwaite... Spalenie książki fatalnie pokrzyżowało mu szyki, ale  
istnieją przecież inne  
jeszcze jej kopie.

Niemniej stanowią bramę i jestem ostatnim człowiekiem, w którego żyłach płynie krew Boone'ów.

W imię dobra ludzkości muszę umrzeć... i przerwać raz na zawsze ten łańcuch.

Niebawem utopię się w morzu, Bonesie. Moja podróż, podobnie jak opowieść, dobiega końca.

Niech Bóg zawsze ma Cię w Swej opiece.

CHARLES

Owe osobliwe papiery dotarły w końcu do pana Everetta Gransona, do którego były adresowane.

Podejrzewano nawrót zapalenia opon mózgowych, które pierwotnie dotknęło Charlesa

Boone'a po

śmierci żony w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, a później sprawiło, że zwariował i

zamordował swego towarzysza i wieloletniego przyjaciela, pana Calvina McCanna.

Notatki w prywatnym dzienniku pana McCanna są fascynującym przykładem

falszerstwa, bez

wątpienia spreparowanego przez Charlesa Boone'a w celu uwiarygodnienia swoich paranoidalnych

iluzji.

W co najmniej dwóch miejscach Charles Boone przeliczył się, Po pierwsze, kiedy

"ponownie

odkryto" (używam naturalnie terminu historycznego) Dolę Jeruzalem, posadzka w

absydzie kościoła,

jakkolwiek zbutwiała, nie nosiła śladów żadnej eksplozji ani jakichś

szczególnych zniszczeń. Chociaż

starodawne ławki były powywracane, a kilka okien wybitych, z całą pewnością jest

to dziełem



wandali z sąsiednich miasteczek dokonany w ciągu kilku ostatnich lat. Pośród starszych mieszkańców Preacher's Corners i Tandrell wciąż wprawdzie krążą pewne pogłoski o Doli Jeruzalem (zapewne w tamtych czasach była to nieszkodliwa miejscowa legenda, która wywarła tak straszliwy skutek na chory umysł Charlesa Boone'a), ale one nie mają z całą sprawą nic wspólnego.

Po drugie, Charles Boone wcale nie był ostatnim przedstawicielem swego rodu. Jego dziadek, Robert Boone, spłodził przynajmniej dwoje dzieci z nieprawego łoża. Pierwsze zmarło w niemowlęctwie. Drugi syn przyjął nazwisko ojca i osiedlił się w miasteczku Central Falls w Rhode Island. Jestem ostatnim potomkiem tej gałęzi rodu Boone'ów; dalekim krewnym Charlesa Boone'a.

Papiery te są w moim posiadaniu od dziesięciu lat. Przedstawiam je do wglądu publicznego z okazji objęcia w posiadanie naszego gniazda rodowego, Chapelwaite, w nadziei, że w głębi duszy Czytelnik odniesie się ze współczuciem do nieszczęsnej, zabłąkanej duszy Charlesa Boone'a.

Na tyle, na ile mogę stwierdzić, w jednym miał on rację: miejsce to gwałtownie wymaga interwencji eksterminatora.

W ścianach, sądząc po dźwiękach, grasują olbrzymie szczury.